

CZŁOWIEK EPOKI



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

CZŁOWIEK EPOKI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-65-1

Copyright © Ireneusz Iredyński

Tekst: Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Niech się stanie głos...

...jestem nieco zakłopotany zaczynając swą opowieść, wieńczącą jedyny cel mojego życia, jakim było znalezienie wampira vel wampyry, powtarzam: jestem zakłopotany nieco, ale do mówienia zmusza mnie przekonanie, że każdy człowiek jest winien swoim siostrom i braciom w gatunku jakąś opowieść ku pokrzepieniu serc według swoich możliwości, więc i mnie od tego obowiązku uchylać się nie wolno. Pokrzepiającym dla szerokiej publiczności może być przykład uwieńczenia powodzeniem moich wysiłków i eksperymentów mających na celu udowodnienie istnienia wampirów vel wampyrów i zbadanie struktury tego zjawiska, które większość ludzi uważa za fantom, a jednak przystępuję do relacji mojego odkrycia z pewnym – jak już nadmieniałem – zakłopotaniem, bo – po pierwsze – nie wiem, co będę robił po ostatecznym zamknięciu sprawy wampirów vel wampyrów, a niewątpliwie sprawozdanie niniejsze będzie zamknięciem tej sprawy, po drugie zaś – odkrycie moje było przypadkowe, nie pokrywające się z hipotezami, jakie wysnuwałem w początkowym okresie badań, a także ujawniające bezprzydatność eksperymentów robionych wówczas przeze mnie, mówiąc skrótowo: osiągnąłem sukces nie osiągając go całkowicie. Praca moja ma podłoże w pacholących porachunkach z łajdackiej pamięci ojcem mym prof. dr Janem Asmodeuszem G., autorem dwudziestoczwartotomowej „Krzepiącej historii cywilizacji euro-amerykańskiej”, w którym to dziele ojciec mój poddał druzgocącej krytyce rzekomy fakt istnienia wampirów vel wampyrów, udowadniając w nadobnych kadencjach (elegancja stylu, jak wszystkim wiadomo, nie wpłynęła na zornamentyzowanie scjentycznej prostoty wywodu), że wampiry vel wampyry były wymysłem ludzi o umysłach mrocznych i wzburzonych jak błotne gejzery, że była to próba wytłumaczenia nieznanymi zjawisk przyrody na miarę ówczesnych wyobrażeń i że nikt nie widział wampira vel wampyry ani nie obserwował czegoś lub kogoś w trakcie czynności warunkującej nazwę, to jest podczas wysysania krwi z osobników żywych płci męskiej, żeńskiej lub z hermafrodyty. Nie wiem, dlaczego ten fragment podziałał na mnie tak silnie, mógłbym znaleźć dużo innych, równie frapujących, w licznych dziełach łajdackiej pamięci mego ojca, a jednak właśnie wzmianka o nieistnieniu wampirów ukształtowała moje dotychczasowe życie, stała się manifestacją mojego ja przeciw wielkiemu ja mego ojca. Zaczęło się to wszystko, gdy byłem trzynastoletnim pacholęciem ukształtowanym przez mego ojca, orędownika wytłumaczalności, jasności i przyczynowości, ukształtowanym w sensie dosłownym, gdyż łajdackiej pamięci ojciec mój znajdował czas na ćwiczenia gimnastyczne ze mną, strofowanie mnie, bym chodził zawsze wyprostowany, jak również na wspólne odwiedziny u krawca, który na polecenie mego ojca szył dla mnie ubrania zgeometryzowane; ojciec także wbił mi do głowy, że świat składa się elementów prostych i można go rozłożyć jak model sześcianu na mnogie małe sześcianiki. Za wypowiedzenie słów takich, jak „chaos”, „rozwichrzenie” czy „pokrętko”, musiałem wpłacać do domowej skarbonki część kieszonkowego, jak to robią dzieci w innych domach za powtarzanie z przyjemnością słowa „dupa”, i kara ta była dla mnie prawdziwą torturą nie dlatego, że nie mogłem sobie kupić dietetycznej mlecznej czekolady zalecanej przez autorytet służby zdrowia, lecz dlatego, iż pozbawiony byłem łechczywej przyjemności lizania monet i banknotów, o których wiedziałem, że są pokryte odrażającymi bakteriami o kształtach rozmamłanych, czego mi ojciec nie omieszkał pokazać ku przestrodze pod patentowanym mikroskopem. Aby zdusić we mnie wszelkie mgławicowe porywy właściwe okresowi dojrzewania (ojciec przekonał się doświadczalnie, że wchodzę w ten niebezpieczny okres podnosząc ze mnie precyzyjnym ruchem kołdrę), umieścił w waterklozecie napis własnoręcznie przez siebie sporządzony (klasyczna antykwa) CZŁOWIEK TO BRZMI DUMNIE, a także dostarczył mi schematów rozmnażania się ludzi, podobnych nieco do schematu radioodbiornika, który dostałem już wcześniej. Do forsownej gimnastyki doszła nauka boksu, a także kąpiele zimowe w rzece, które uzyskały sławę publiczną, jako że

fotoreporterzy w nausznikach i kożuszkach gęsto błyskali fleszami, a zdjęcia przez nich porobione ukazywały się potem w ilustrowanych magazynach z podpisami: „Wielki racjonalista wraz z synem kąpie się w przerębli.” Wspomnieć też muszę o urządzeniu gabinetu ojca, a także o urządzeniu mojego dzieciennego pokoju; w jednym i drugim meble były z mas plastycznych, szkła i metalu, robione według wskazówek ojca w firmie „Funkcjonalność”, prostokątne lub kwadratowe, lampy były bez abażurów, ściany polakierowane na biało, a podłoga wyłożona łatwo zmywalnym encyklopedofixem. Dużo mógłbym jeszcze mówić o ojcu, ale sądzę, że te przykłady wystarczą, jako że opowieść moja dotyczy innego tematu, a wspomnienia o łajdackiej pamięci ojcu mym i świętej pamięci mej matce (które za chwilę podam) stanowią coś w rodzaju wstępu koniecznego do zrozumienia (proszę, „do zrozumienia”! – niezniszczalny wpływ łajdackiej pamięci mojego ojca) mojej pasji w tropieniu wampirów vel wampyrów, która we wczesnym okresie młodości stała się tak nagląca, że nie zawaham się jej nazwać idée fixe. Świętej pamięci matka moja zajmowała pokój osobny, do którego ojciec zachodził raz w tygodniu, dokładnie w niedzielę, o godzinie dwudziestej zero zero, nie zapominając o rytuale spojrzenia na zegarek i powiedzenia: „Czas na miłość i higienę” – pokój ten był urządzonej zupełnie inaczej niż ojca i mój, meble były frymuśnie gięte, łoża owalne z baldachimem i koronkami, na meblach było pełno bibelotów, strusich piór, a ściany wybite bordowym brokatem zawieszane były obrazami jakby nie dokończonymi, linie i plamy na tych obrazach gięły się i niknęły w jakichś rozpylonych przestrzeniach świetlnych, w ogóle światło w pokoju świętej pamięci matki mojej było niezwykle, trzepoczące, co sprawiały abażury z jedwabiu z dziwnymi zaciekami i meble rzucające gęszcz cieni poskręcanych ze sobą spazmatycznie. Do trzynastego roku życia opieka świętej pamięci matki mojej nade mną ograniczała się do kołysania mnie na kolanach i gaworzenia ze mną językiem przedziwnym, w którym składnia była łamana, gramatyka puchła lub chudła gwałtownie, aż wreszcie gramatyka i składnia zniknęły, pojawił się język onomatopeiczny, którego używaliśmy bez obaw, albowiem i świętej pamięci mojej matce, i mnie wiadomo było, że ojciec nie wejdzie do tego sanktuarium kobiecości poza niedzielą, godzina dwudziesta zero zero, a usłyszeć spoza drzwi nic nie będzie mógł, na drzwiach bowiem umieszczono obłe poduchy tłumiące wszelkie głosy i odgłosy; łajdackiej pamięci ojciec mój odrywał się często od swoich foliałów, by przeprowadzić ze mną ćwiczenie woli lub ćwiczenie mięśnia kapturowego, pukał wówczas do drzwi pokoju matki i gdy otwierałem je, mówił cezariańską składnią: „Stanisławie, zobaczyłem, przyszedłem, ćwiczymy.” Po owym incydencie z podniesieniem kołdry przez łajdackiej pamięci mojego ojca i ofiarowaniem mi schematu rozmnażania stosunek do mnie świętej pamięci matki wzbogacił się, zaprosiła mnie do swego pokoju, gdzie pokazała mi model dorzecza Amazonki, model pokryty płową sierścią, która jeżyła się, gdy na nią lekko dmuchnięto – wystarczał właściwie bliski oddech – model, którego zagłębienia pokryte były substancją fosforową, zielonkawo świecąca w mroku, model pełen wyżłobień, zgrubień, tajemnych zakamarków, zapalających się w głębi światełek, z umieszczonym wewnątrz mechanizmem wydającym pomruki i westchnienia, całość zrobiona z materii dającej się łatwo deformować, a jednak w dziwny sposób sprężynującej, w dziwny, bo bardzo powoli, tak że model najbardziej nawet zdeformowany po pewnym czasie powracał do właściwego kształtu, zaznajamiałem się – powiadam – z tym przedmiotem przez kilka tygodni zupełnie swobodnie, bo matka moja częste wizyty w jej pokoju wytłumaczyła ojcu moją skłonnością do zabawy modelem klucza wiolinowego, jaki niedawno nabyła w antykwariacie, a ojciec po namyśle oświadczył, że wspomniana skłonność nie może zdeformować mojej dziecięcej psychiki, jako że klucz wiolinowy pomimo kształtów obleśnych spoczywa na pięciolinii, precyzyjnym wyznaczniku punktów. Świętej pamięci matka moja przebierając mnie w peniuary spienione koronkami, jakies dwuznaczne szatki z fiszbinami, gąbkami wewnątrz jedwabiu, zaznajomiła mnie z zakamarkami modelu, co przyszło jej tym łatwiej, że szatki owe łechzcząc zmniejszały mnie

do wymiarów lilipucich, tak iż nie byłem większy od pchły strojnie przybranej (słyszałem, że wyprodukowano kiedyś taką w mieście Tule dla cara Wszechrosji), i posuwając się w wilgotnym mroku pachnącym jak rozkładająca się i kwitnąca równocześnie dżungla, słyszałem gdzieś daleko w górze śmiech świętej pamięci matki mojej, cieniutki, rozplatający się i splatający jak warkoczyk. Na wędrówkach tych spędzałem mnóstwo godzin, parę razy bliski byłem utonięcia w podłożach grząskich i pachnących, raz – a zdaje mi się, że było to w niedzielę – bliski byłem zagłady, olbrzymia masa jak ziemia spulchniona tektonicznymi ruchami waliła się na mnie, ale na szczęście miałem przy sobie scyzoryk odpowiednio też zmniejszony i kłując tym mikroskopijnym ostrzem walącą się na mnie masę, kłując w zapamiętałej furii – uratowałem się, masa zniknęła, a ja znów mogłem rozpocząć swoją wędrówkę przez okolicę pachnącą jakby świeżo po deszczu, i tylko gdzieś daleko był ryk niby oddalającej się burzy czy też zranionego zwierzęcia. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego pewnego dnia nie przyjąłem pomniejszających mnie szatek, wiem tylko, że zapragnąłem zapanować nad okolicą, którą poznałem, wszystkie nauki mego ojca zlały się w jedno pragnienie: zniwelować, wyrównać, uporządkować. Świętej pamięci matka moja pozwoliła mi na to z zagadkowym uśmiechem, a ja dokonując dzieła pewny byłem, że raz na zawsze ujarzmiłem okolicę, której wykroty i wzgórze, rozpadliny i tropikalna wilgoć były niedawno przyczyną moich słodkich strachów, i trwało to do chwili (ta moja pewność), gdy świętej pamięci matka moja ubrała mnie odpoczywającego (a więc bezwolnego) w szatki pomniejszające i udałem się w wędrówkę spodziewając się zastać teren zniwelowany, uporządkowany, wyrównany, ale tam nic się nie zmieniło, wróciłem i płacząc rzewnie na łonie matki wyznałem jej, że rozumiem teorię względności. Było to ostatnie moje pomniejszenie, matka chcąc przeciwstawić się mojej frustracji oraz geometryzującemu wpływowi łajdackiej pamięci ojca zaczęła zapraszać do siebie przyjaciółki, które chętnie zabawiały dziecko przebierając się w zatłuszczone barchany, zetlałe jedwabie, nakładając na siebie płaty pleśni i grzybni, obwieszając się strusimi piórami, dzwoneczkami, faramuszkami, ptifurkami, i tak ugarniowane poddawały mnie edukacji pokrętnej, wystrzępionej, splecionej, niepewnej i mrocznej – w przeciwieństwie do edukacji mego ojca, która była mechaniczna, przejrzysta, rozłożona na elementy i równomiernie oświetlona.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI